
NOWE MIESZKANIE

Przeprowadzka * Baza MPO * Skarga gosposi * Wycieczka do Gdańska * Zakaźna żółtaczka * SDH Jubilat * Tysiąclatka nr 999

Od pierwszych dni marca 1964 r. przygotowywaliśmy się do przeprowadzki do nowego mieszkania, gdyż lada dzień nasz nowy spółdzielczy blok mieszkaniowy w dzielnicy Salwator miał być oddany do użytku. Jego budowa przeciągnęła się ponad rok w stosunku do planowanego pierwotnie terminu, w związku z czym wzrosły koszty budowy i trzeba było dopłacić sporą kwotę do wkładu budowlanego.

Otrzymaliśmy mieszkanie na I piętrze w narożniku budynku od strony południowej i zachodniej. Spółdzielnia wyznaczyła mieszkania przyszłym lokatorom jeszcze w trakcie budowy, tak że miałem pewien wpływ na wykończenie mieszkania, w szczególności na określenie, czy będą flizy w łazience i kuchni, jakie mają być posadzki w tych pomieszczeniach itp. W pokojach mieszkalnych i przedsiionkach były posadzki z dębowego parkietu, ułożonego w jodełkę. Wykonane też zostały solidne izolacje akustyczne stropów z dwóch warstw mat trzciniowych, układanych na krzyż, dzięki czemu nie było potem wzajemnych podśluchów przez lokatorów sąsiednich mieszkań.

Protokół zdawczo-odbiorczy przejęcia mieszkania przez żonę, jako główną lokatorkę, podpisany został 14 marca. Przeprowadziliśmy się już nazajutrz. Łazienka i kuchnia były wyposażone we wszystkie urządzenia sanitarne, kuchenkę gazową czteropłomienną i piecyk gazowy na ciepłą wodę. W kuchni był komplet szafek kuchennych, w przedpokoju wbudowane szafy z pawlaczami. Działało centralne ogrzewanie, liczniki gazowy i elektryczny były podłączone. Można więc było zamieszkać.

Z naszego dotychczasowego mieszkania przewieźliśmy tylko część mebli, zostawiając szafę i łóżka. Zabraliśmy oczywiście całe wyposażenie, kilimy, dywan, sprzęt gospodarczy, garderobę. Zamówiłem fachowców do różnych robót i na przykład nasza antena telewizyjno-radiowa zamontowana została na dachu budynku jako pierwsza. Za dalszych kilka dni żona upatrzyła w sklepie meblowym w Śródmieściu bardzo ładny enerdowski komplet meblowy w kolorze ciemnego orzecha do pokoju dziennego. Zakupiliśmy go wyjątkowo na raty. Do dalszych trzech pokoiów nie mieliśmy szansy, by kupić gotowe meble, gdyż pokoje te były bardzo wąskie i małe, dwa środkowe po 7 m², ostatni narożny 10,5 m². Postanowiłem sam zaprojektować meble do tych pokoi.

Do ostatniego zaprojektowałem biurko składane z dwu części, dwie długie, wiszące szafki na książki, duże, stojące lustro z toaletką i półeczkę na drobiazgi. Na koniec maja meble były gotowe, wykonane jako fornirowane w kolorze jasnego orzecha. Po zakupieniu tapczanu, chodnika na posadzkę i zawieszeniu licznych mych obrazów, mieliśmy już drugi pokój umeblowany, a służył nam jako sypialnia i moje miejsce pracy.

Również do jednego ze środkowych pokoiów zaprojektowałem dwie oryginalne meblościanki z podnoszonymi łózkami. Stojaki ścianek z metalowych rur oksydowanych, górna obudowa z płyt laminowanych, w środkowej części były zamykane wnęki, po otwarciu których tworzyły się blaciki do pisania. Czyli w jednym meblu były łóżko, biurko oraz półki i szafki na książki, zeszyty i drobną garderobę. Oczywiście te dwie meblościanki miały służyć synom na okres ich lat szkolnych. Do kompletu umeblowania pokoiku należała jeszcze nieduża szafka-regał na zabawki.

Całość wykonała w lipcu, na moje zlecenie, fabryka mebli w Mszanie Dolnej, która specjalizowała się w produkcji mebli z płyt laminowanych na konstrukcji z rur stalowych dla barów mlecznych w całym kraju. Do drugiego małego pokoiku wstawiliśmy tylko

tapczan, miał to być pokój dla stałej już pomocy domowej

Nieco później zaprojektowałem do dziennego pokoju stolik-szafkę pod telewizor, który stał dotąd na starym, zniszczonym stoliku, nie pasującym zupełnie do naszych nowoczesnych enerdowskich mebli. Wykonanie nowego mebelka zleciłem do renomowanego warsztatu stolarskiego, mieszczącego się na Małym Rynku. Widocznie spodobał się właścicielowi warsztatu, gdyż potem przez kilka lat produkował seryjnie identyczne stoliki-szafki pod telewizory, prezentując je na sprzedaż w witrynie wystawowej swego warsztatu.

Tak więc stosunkowo szybko, w niespełna pięć miesięcy, uporał się z zadaniem umeblovania naszego nowego mieszkania. Dokupywanie kilimów, dywanów, różnorodnego sprzętu, innych drobnych mebli, wykonanie flizów w łazience i kuchni itp. ciągnęło się rzecz jasna jeszcze właściwie przez kilka lat

Ogólny koszt mieszkania wyniósł 221 tys. złotych, wpłacony już własny wkład budowlany 33 tys. Udzielony kredyt bankowy na pozostałą kwotę 188 tys. złotych mieliśmy spłacać przez 40 lat przy niskim 1% oprocentowaniu w skali roku i dodatkowo z perspektywą umorzenia końcówki kredytu po bodaj 25 latach regularnych spłat ratalnych.

Nie skończyłem jeszcze prac, związanych z projektami realizacyjnymi szkół "tyśiąclecie", gdy nowy dyrektor biura Adam Koczur zobowiązał mnie do pilnego wykonania projektu technicznego na budowę dużej Bazy Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Krakowie. Projekt był już rozpoczęty w innej pracowni, lecz z jakichś powodów przerwany zaraz na początku prac. Zapoznałem się przede wszystkim z organizacją przedsiębiorstwa oraz założeniami projektowymi przedsięwzięcia inwestycyjnego. Obejmowało ono cztero-kondygnacyjny budynek biurowy, duże warsztaty remontowo-naprawcze, garaże na liczny sprzęt i tabor specjalistyczny, liczne magazyny np. środków dla zwalczania gołoledzi itd. Obiekty kubaturowe miały łącznie prawie 40 tys. metrów kubicznych.

Największym problemem projektowym była zwłaszcza wielka hala warsztatowa, wyposażona w liczne, różnorodne maszyny. W trakcie prac projektowych często konsultowałem się z kierownictwem i specjalistami przedsiębiorstwa, starając się maksymalnie uwzględnić w projektach ich konkretne, fachowe uwagi. Opracowanie pełnej dokumentacji realizacyjnej całości Bazy MPO trwało w moim zespole projektowym kilka miesięcy.

W sąsiedztwie naszego nowego budynku, w którym zamieszkaliśmy, znajdowało się nieduże osiedlowe przedszkole. Zdecydowaliśmy się więc zapisać do niego naszego ponad 3,5 rocznego Maćka, by mógł przebywać w gronie swych rówieśników pod fachową opieką przedszkolank. Były wolne miejsca i od pierwszych dni maja nasz pierworodny syn odprowadzany był przez naszą pomoc domową do przedszkola, w którym przebywał do godzin popołudniowych.

Pewnego majowego dnia nasza gosposia J. Duda zażądała zakupu tradycyjnego, ciężkiego żelazka do prasowania, bo nie zadawała jej lekkie, zresztą bardzo nowoczesne, żelazko z termostatem, jakie posiadaliśmy. Wysłała obrażona, gdy żona stanowczo odmówiła i nie przyszła do pracy następnego dnia. Kasia pracowała wówczas w systemie zmianowym 12/24 godziny i nie mogła sobie pozwolić na nie pójście do pracy, gdzie czekała koleżanka po całonocnym dyżurze. Więc po wcześniejszym odprowadzeniu Maćka do przedszkola, owinęła 3-miesięcznego Grzesia kocem, wzięła go na ręce, przyjechała taksówką do mego biura i położyła go na desce rysunkowej, przy której pracowałem. Oczywiście musiałem zostawić swe rysunki, zabrałem jakieś pisane prace i z maluchem na ręku poszedłem pracować dalej do domu. Na kolejny dzień uprosiliśmy

o opiekę nad maluchem ciotkę Irkę.

Myśleliśmy, że nasza pomoc opuściła nas już bezpowrotnie. Ale po dwóch dniach zjawił się jej mąż, przepraszając za nieporozumienie i sam zaopiekował się dzieckiem, po czym jego żona wróciła do pracy. I przychodziła normalnie do dnia najbliższej wypłaty, to jest 2 czerwca. Po zainkasowaniu pieniędzy oświadczyła żonie, że bierze od zaraz 2-tygodniowy urlop, bo ma malowanie w swym mieszkaniu. Kasia zgadzała się na trzy dni, ale nie od razu, bo wprawdzie musiała uzgodnić w pracy odpowiednie ułożenie dyżurów. Zaś urlop pełny miała gospoia otrzymać już niedługo, w lipcu, w którym wyjeżdżaliśmy do dziadków w Poznańskim, o czym zainteresowana wiedziała zresztą od dawna. Zgodziła się, lecz pod warunkiem otrzymania w lipcu dodatkowych 800 złotych. Żona na szantaż nie przystała, a nasza Duda poszła sobie, tym razem, na dobre. Wprawdzie znów po kilku dniach zjawił się jej mąż, lecz tylko po zaświadczenie o okresie pracy dla swej żony. Oczywiście mu je wypisałem. Znowu więc mieliśmy problemy z opieką nad naszymi dziećmi, daliśmy jednak szybko ogłoszenie do prasy i zatrudniliśmy nową pomoc domową, też starszą kobietę, garbuskę.

Z początkiem lipca zabrałem starszego syna i pojechaliśmy do dziadków do Kępna. Nasz pociąg krakowski był nieco opóźniony i w konsekwencji uciekł nam pociąg jadący z Katowic w kierunku Poznania. Nowe połączenie mieliśmy dopiero za kilka godzin, więc poszliśmy "w miasto". Śródmieście Katowic bardzo się zmieniło od mego poprzedniego w nim pobytu przed kilku laty. Przybyło sporo wysokich domów mieszkalnych, nowoczesny dom towarowy, kilka okazałych biurowców ze szkła i aluminium. Była pora popołudniowa, więc zjedliśmy obiad w eleganckiej restauracji "Monopol", gdzie Maciek skonsumował puchowego omleta. Do Kępna dojechaliśmy dopiero wieczorem. Była tam już, jak co roku w porze wakacji szkolnych, ciocia Nela i moja siostra ze swymi dziećmi.

Rodzice znów chwalili się urodzajem w ogródku i polu, problemy były tylko ze stonką, która atakowała zawzięcie liście ziemniaczane. Wszyscy musieliśmy zbierać to wstrętne robactwo do flaszek, jakie potem zalewało się wodą. Maciek był hołubiony przez wszystkich, bawił się świetnie, miał wilczy



Przesiadka w Katowicach

apetyt, a ja nie byłem mu do niczego potrzebny. Chyba tylko do opowiadania "bajeczek" przed zaśnięciem. To też po tygodniowym pobycie pojechałem z powrotem do Krakowa, gdzie czekały na mnie pilne prace projektowe. Syn pozostał i wrócił z wakacji dopiero w połowie sierpnia, razem z mą siostrą i ciocią Nela, które zatrzymały się u nas na kilka dni. Bardzo podobało im się nasze nowe mieszkanie.

Kasia żałowała, że Grześ nie mógł ze mną pojechać do dziadków, gdyż był wtedy lekko przeziębiony. Przez cały ten czas normalnie pracowała, a opiekę nad Grzesiem w czasie jej



Rodzinny brydz w ogródku

nieobecności, sprawowała nasza nowa stała pomoc domowa, Władzia. Poprzednia gospoia, garbuska nie mogła poradzić sobie ze starszym synem. To on jej dokuczał, to

ona go poszturchiwała, w każdym bądź razie trzeba się było z nią rozstać. Zatrudniliśmy wtedy znów młodą, siedemnastoletnią dziewczynę. Władzia pracowała bardzo rzetelnie, miała też swoje dziewczęce słabości, ubierała się w suknie żony i paradowała w nich w czasie naszej nieobecności. Raz wzięła złoty pierścionek ślubny żony, a potem przyznała się, że obrączkę zgubiła. Godziliśmy się z tym wszystkim, bo taki to już marny los młodych pracujących małżeństw z małymi dziećmi, gdy nie mają babć i dziadków do pomocy na co dzień.

W moim biurze jeszcze trwały prace, związane z projektami dla Bazy MPO, ale równocześnie przyjąłem nowe zlecenia na opracowanie dokumentacji dla trzech niedużych, plombowych budynków mieszkalnych przy ul. Topolowej, Kościuszki i Lewińskiego. Po wizjach lokalnych i uzgodnieniach z inwestorem szybko opracowałem dla tych budynków niezbędne projekty wstępne. Po ich zatwierdzeniu przez MKOPI, do końca roku wykonałem projekty techniczne architektury, a w zespołach branżowych PW-2 projekty konstrukcji i wszystkich instalacji dla tych budynków.

W dniu 18 września otrzymaliśmy korespondencyjnie sentencję wyroku Sądu Powiatowego dla m. Krakowa z 22 sierpnia w sprawie roszczeń finansowych do nas ze strony naszej byłej gospośi J. Dudy. Nie otrzymaliśmy wcześniej ani wezwania na rozprawę, ani skargi samej Dudy, w ogóle dopiero z otrzymanej decyzji dowiedzieliśmy się o istnieniu tej skargi i odbyciu zaocznej rozprawy sądowej. Według sentencji wyroku mieliśmy zapłacić na rzecz powódki 1400 złotych wraz z odsetkami od czerwca, uiścić opłatę sądową 56 zł i to wszystko pod rygorem natychmiastowej wykonalności.

Wyliczona kwota miała być ekwiwalentem za niewykorzystany dwutygodniowy urlop, należny za okres rocznej pracy, plus koszt wyżywienia za czas niedoszedłego urlopu. Oczywiście żona złożyła natychmiast odwołanie do Sądu, argumentując, że to powódka opuściła swe miejsce pracy, bez uprzedniego wypowiedzenia ze swej strony, przez co z własnej winy utraciła możliwość korzystania z urlopu w lipcu, gdy sami mieliśmy wyjechać z dziećmi w ramach naszych urlopów pracowniczych. Naraziła nas przez to na poważne problemy i koszty anonsów prasowych.

Natomiast nasza była gospośia przez swego adwokata rozszerzyła powództwo o dodatkowe roszczenie tysiąca złotych za jakieś niedopłaty w pierwszych trzech miesiącach pracy 1963. Kolejny wyrok Sądu Powiatowego z marca 1966 r. zawierał już więc 3 strony uzasadnienia (poprzedni jedynie jedną stronę). I od tego wyroku odwołała się moja żona, prostując i wyjaśniając sprawy sprzed dwu i trzech lat, a także adwokat powódki, którego najwidoczniej bawiło gmatwanie procesu i wymyślanie coraz nowych okoliczności i roszczeń. Sprawa przeniosła się na wokandę Sądu Wojewódzkiego, by wrócić do ponownego rozpatrzenia przez Sąd Powiatowy. Ostateczną decyzję z 11 maja 1967 roku sąd ten oddalił w całości skargę i roszczenia byłej naszej pomocy domowej. Ale w sumie ta zabawa w ciuciubabkę trwała 3 lata, kosztowała немало skarb państwa, naszego czasu i nerwów i chyba tylko J. Duda i jej adwokat bawili się nieźle.

W październiku Zarząd Oddziału SARP (Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej) w Krakowie zorganizował dla architektów, członków swego związku, 6-dniową wycieczkę autokarową trasą Kraków-Łódź-Płock-Gdańsk-Warszawa-Kazimierz Dolny-Kraków. Wycieczka ta była droga, ale nie mogłem nie pojechać, zwłaszcza że w wielu zwiedzanych miastach jeszcze nigdy nie byłem. Miała ona charakter szkoleniowo-zawodowy i równocześnie krajoznawczy. W Łodzi, Gdańsku i Warszawie braliśmy udział w spotkaniach z architektami miejskich pracowni urbanistycznych, którzy prezentowali plany rozbudowy swych miast, a potem występowali jako przewodnicy przy zwiedzaniu nowych osiedli i większych obiektów.

W Płocku zwiedziliśmy rozległy kombinat petrochemiczny. Zasilany już był w ropę z rurociągu "Przyjaźń", dla którego na Wiśle w Płocku zbudowano oryginalny most wiszący. W Toruniu mieliśmy tylko godzinny postój na zwiedzenie Rynku Staromiejskiego, ale zdażyłem kupić kilka dużych, ozdobnych, a smakowitych pierników na podarunki rodzinne. W Gdańsku i Gdyni obejchalśmy autokarem budujące się wielkie osiedla Przymorze, Wrzeszcz, Wzgórze Nowotki i Redłowo.

Już w drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na krótko w miejscowości Grunwald, w celu zwiedzenia znajdującego się tam założenia pomnikowo-urbanistycznego. W Warszawie zwiedziliśmy ścianę wschodnią Placu Defilad, Trasę N-S, osiedla Sady Żoliborskie i Praga II oraz Plac Teatralny z Teatrem Wielkim Opery i Baletu. W Puławach wielki nowy kombinat nawozów sztucznych. Zupełnie inny charakter miało zwiedzanie starego, zabytkowego i uroczego Kazimierza Dolnego.

Przejechaliśmy trasę ponad 1700 kilometrów bez żadnych problemów i ze stosunkowo dużą szybkością. Trzeba jednakże wiedzieć, że motoryzacja w Polsce wówczas znajdowała się jeszcze w powijkach i ruch na szosach był bardzo mały.

W czwartym kwartale zaangażowałem się do opracowywania dwóch nowych tematów projektowych. Były to: rozbudowa budynku Krakowskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR i budowa nowej 16-izbowej szkoły podstawowej przy ul. Solskiego. Pierwszy obiekt miał być wybudowany jako skrzydło istniejącego gmachu Komitetu, w miejscu istniejącego, zruderowanego XIX-wiecznego budynku mieszkalnego, przeznaczonego do rozbioru. Szkoła miała stanąć po przeciwnej stronie ulicy, na istniejącym placu, zajętym tylko przez drewniane prowizoryczne baraki. Koncepcje obu tematów opracowywał już od pewnego czasu mój partner w zespole, Staszek Ćwizewicz. Ja włączyłem się na etapie uściślenia i uzgadniania programu użytkowego dla rozbudowywanego KW, przy czym przewidywano też znaczne zmiany w istniejącym budynku, jakie miały być przeprowadzone w ramach jego generalnego remontu. Uzgodnienia dokonywaliśmy bezpośrednio z I sekretarzem KW Lucjanem Motyką. Był to człowiek bardzo opanowany oraz zdecydowany i miał duże zaufanie do nas projektantów, wysłuchując uważnie i przyjmując nasze propozycje.

Rozbudowa budynku KW nie doczekała się jednakże realizacji i projekt został przerwany w fazie koncepcji architektonicznej. Dwa tego były powody. Po pierwsze Lucjan Motyka w styczniu 1965 r. mianowany został Ministrem Kultury i Sztuki i przeniósł się do Warszawy, a jego następca nie przejawiał większego zainteresowania inwestycją. Drugim powodem, chyba ważniejszym, było to, że zbyt wiele się w Polsce w tych latach budowało i zaczęło brakować środków finansowych. Zaczęły się ograniczenia w rozpoczynaniu nowych inwestycji, a nawet wprowadzanie, niekiedy drastycznych, ograniczeń w już kontynuowanych i przygotowywanych. Biura projektowe otrzymały wówczas nowy oszczędnościowy normatyw projektowania budownictwa mieszkaniowego. Między innymi zabraniał on stosowania balkonów, zmniejszał powierzchnię użytkową mieszkań i zalecał projektowanie w małych mieszkaniach tzw. ślepych kuchni (bez okna). W Krakowie te oszczędności wdrożono tylko na jednym, ale dużym, osiedlu Azory projektowanym w naszym biurze.

Natomiast projekt budynku szkolnego przy ul. Solskiego był kontynuowany i w ciągu kilku miesięcy opracowałem najpierw projekt wstępny, zaś później pełny projekt techniczny. Było z tym bardzo dużo pracy, bo obiekt zaprojektowany został jako całkowicie indywidualny, z podcieniami, prześwitami itp. Ostatecznie jednak szkoła ta nigdy nie została wybudowana. Był to więc jeden, z bardzo nielicznych obiektów, projektowanych przeze mnie, które nie zostały zrealizowane. Wcześniej należały do nich tylko dwie szkoły podstawowe przy ul. Bulwarowej w Nowej Hucie.

Od 1 stycznia 1965 r, biuro moje przeszło kolejną reorganizację. Polegała ona przede wszystkim na tym, że wyłączono z biura dwie pracownie zajmujące się remontami i rewaloryzacją budynków zabytkowych w Krakowie i utworzono na ich bazie nowe biuro pod nazwą Miejskie Biuro Projektów. Związane to było ze znacznym wzrostem zakresu remontów na Starówce Krakowskiej i utworzeniem również oddzielnych wyspecjalizowanych przedsiębiorstw, zajmujących się wyłącznie remontami. Pozwoliło to potem faktycznie na usprawnienie planowania, projektowania i wykonawstwa robót renowacyjnych na krakowskiej Starówce. Między innymi wprowadzono wtedy nowatorską w skali kraju, a może i świata, zasadę kompleksowej, równoczesnej waloryzacji całych kwartałów, złożonych z 4-6 budynków zabytkowych.

Pozostała, po wydzieleniu tych dwu pracowni remontowych, część biura kontynuowała normalnie wszystkie zlecone prace projektowe, oczywiście bez tych remontowych. Zmieniła jedynie nazwę na Krakowskie Biuro Projektów Budownictwa Ogólnego. Zmienił się też dyrektor, którym został młody architekt Witold Gawor.

W pierwszych dniach stycznia zachorowała nagle moja żona. Wezwany lekarz pogotowia stwierdził objawy żółtaczki zakaźnej i od razu przewieziono ją do Kliniki Chorób Zakaźnych przy ul. Kopernika. Na drugi dzień w południe przyszło do naszego mieszkania kilku pracowników Stacji Sanitarно-Epidemiologicznej i rozpylili jakiś mocno śmierdzący płyn na podłogę, dywany, pościel, ale nie na meble. Nie zostało więc ostatecznie żadnych śladów po tej dezynfekcji, a jedynie ostry zapach, występujący potem przez wiele dni. W mieszkaniu była wtedy Władzia, nasza stała pomoc domowa, wraz z dziećmi. Zgodnie ze wskazaniem ekipy sanitarnej, od razu wymieniła całą zdezynfekowaną bieliznę pościelową, ręczniki itp. na nowe. Zaś po kilku godzinach przyjechał wystraszony kierownik Izby Dziecka, w której pracowała Kasia, bo też mu zdezynfekowano wszystkie pomieszczenia, a nie wiedział co się z nią stało. Ja w tym czasie byłem normalnie w pracy w swym biurze projektowym.

Codziennie po godzinach pracy jeździłem do szpitala, by dowiedzieć się o stanie zdrowia Kasi. Oczywiście nie miałem dostępu na oddział, mogłem jedynie porozumiewać się z nią za pomocą liścików, a i to nie zawsze. Natomiast miałem pełną, kompetentną informację ze strony ordynator oddziału dr Ireny Zasowskiej. Nie były to bynajmniej informacje zbyt optymistyczne. W Krakowie panowała wówczas epidemia bardzo ostrej żółtaczki zakaźnej, a w klinice co kilka dni na jej oddziale miały miejsca zgony pacjentek. Mówiła coś o marskości wątroby, o nieodwracalnych skutkach choroby itp. Dla mnie te wszystkie informacje były jakby nie z tego świata, dotąd chyba nie wiedziałem, że w ogóle występuje taka choroba jak żółtaczka

W czwartym dniu pobytu żony w szpitalu, zachorował na żółtaczkę zakaźną również Maciek. Też w trybie pilnym pogotowie zabrało go do Miejskiego Szpitala Specjalistycznego dla Dzieci im. dr. Anki przy ul. Prądnickiej. Natężenie choroby u syna było jednak znacznie mniejsze niż u żony. Odtąd po wizycie w szpitalu na Kopernika jeździłem taksówką również do szpitala na Prądnickiej. Przy czym cały czas normalnie pracowałem w biurze, nie mówiąc nawet nikomu o swych problemach rodzinnych. Nie informowałem też żony o chorobie Maćka. Ale czuła się ona już lepiej, była w sali rekonwalescentów i mogłem z nią bezpośrednio rozmawiać, choć z pewnego dystansu. I wyciągnęła ze mnie informację o chorobie Maćka, gdy niezręcznie odpowiadałem na jej pytania, jak się czują dzieci.

Gdy przyjechałem w następnym dniu dr. Zasowska zakomunikowała mi, że zgadza się przyjąć na swój oddział również mego syna, chociaż normalnie dzieci na oddziale nie było. Po pewnych czynnościach administracyjnych Maciek znalazł się więc w pokoju u swej mamy. Cieszył się z tego bardzo, jeszcze bardziej żona, a również współlokatorki

na sali rekonwalescencyjnej, których sympatie ruchliwy, błyskotliwy i grzeczny malec zdobył już w pierwszych chwilach swego pobytu. A ja nie musiałem jeździć z jednego końca miasta na drugi.

Ich łączny pobyt w szpitalu trwał jeszcze dziesięć dni, po których obydwójce zostali wypisani z oddziału i mogłem ich zabrać do domu. Dzień wcześniej nieustrudzona dr. Zasowska zrobiła mi cały wykład na temat konieczności przestrzegania przez żonę określonej, ścisłej diety wątrobowej już właściwie do końca życia. Jeszcze dokładniej poinformowana została w tym względzie sama Kasia, zresztą menu dietetyczne otrzymaliśmy także na piśmie. Były w nim ser biały, miód, jarzyny, owoce, mięso wołowe, wszystko tylko gotowane. Nie było tłuszców, żółtych serów, jajek, wędlin (poza chudą szynką), wszelkich pieczeni, smażonych potraw itp.

Od tego czasu Kasia prowadziła dwie odrębne kuchnie, przygotowując dla mnie i Grzesia potrawy "normalne", podczas gdy sama z Maćkiem żywili się ściśle według przepisanej im diety żółtaczkowej. Ale z biegiem czasu, co raz bardziej swoją dietę rozszerzała również na mnie i młodszego synka, z wyraźną korzyścią dla naszego zdrowia. Opanowała zresztą umiejętność przyrządzania bardzo smacznych i urozmaiconych różnych dań i zup dietetycznych i serwowała to całej rodzinie. Ja wprawdzie nie pozbyłem się pociągu do kielbas, śledzików i innych pikantnych potraw, ale przestały one dominować w moim jadłospisie. I bardzo to sobie chwalę, zwłaszcza z perspektywy przeżytych zdrowo dalszych dziesiątków lat swego życia.

W lutym zjawił się w biurze mój przyjaciel Igor Stachniak z prośbą o przyjęcie zlecenia na opracowanie dokumentacji technicznej na budowę dużego domu towarowego dla Powszechnej Spółdzielni Spożywców "Społem" w Krakowie. Miała ona w mieście setki swych sklepów, kantorów sprzedażnych w zakładach pracy, magazynów i hurtowni. Spółdzielnia postanowiła też wybudować dla siebie w mieście duży dom handlowy, przyjmując dla niego nazwę Spółdzielczy Dom Handlowy "Jubilat", a to w związku ze zbliżającą się setną rocznicą spółdzielczości spożywców w Polsce. Igor był pełnomocnikiem Zarządu PSS "Społem" do spraw budowy tego domu handlowego i należały do niego wszystkie zagadnienia związane z przygotowaniem i realizacją inwestycji. Jeszcze w 1962 r. przeprowadzony został konkurs na projekt koncepcyjny, w którym wzięły udział 3 biura projektowe. Wygrał go nieduży Spółdzielczy Zespół Projektowy, który po roku przystąpił do wykonywania projektu technicznego.

W międzyczasie trwały roboty związane z przygotowaniem placu budowy, to jest usunięciem ruin budynku piętrowej drukarni, zniszczonej podczas wysadzenia w powietrze przez Niemców pobliskiego mostu Dębnickiego na Wiśle, oraz z przebudową istniejącej na działce rejonowej stacji transformatorowej. Roboty ziemne wykazały bardzo niekorzystne warunki gruntowo-wodne, konieczne stało się więc posadowienie budynku na tzw. wannie szczelnej oraz podmurowanie fundamentów ścian sąsiednich istniejących 5-kondygnacyjnych budynków mieszkalnych. Również te prace zostały rozpoczęte w oparciu o fragmentaryczne rysunki konstrukcyjne, po czym je przerwano na okres prawie dwu lat, wobec braku pełnego projektu technicznego.

Mianowicie przestał pracować w "Społem" dotychczasowy koordynator inż. S. Łysoń, a co gorsza, główny projektant-architekt wyemigrował do Izraela, zmieniając sobie ojczyznę. Cały dotychczasowy zespół projektowy się wtedy rozsypał, a samo biuro spółdzielcze wkrótce uległo likwidacji. Tak więc Igor przyjechał do mego biura, a właściwie do mnie osobiście, z jednym błagalnym przesłaniem "ratujcie!". Nie gadałem wiele, poprosiłem go, by na drugi dzień przywiózł mi projekt wstępny i wszystkie opracowane już fragmenty projektów technicznych, pojechałem na plac budowy, oraz udałem się do dyrekcji przedsiębiorstwa, gdzie poinformowano mnie, że przedsiębiorstwo

wystąpiło już do Komisji Arbitrażu Gospodarczego o odszkodowanie od inwestora za poniesione straty.

Po przeglądnięciu całego dotychczasowego materiału projektowego powiedziałem Igorowi, że podejmuję się kontynuacji projektu technicznego, ale wcześniej konieczne jest wykonanie nowego zamiennego projektu wstępnego. Chodziło mi przede wszystkim o szersze potraktowanie opracowań instalacyjnych, zwłaszcza wentylacji mechanicznej. Ponad to obowiązywał od stycznia nowy normatyw projektowania, zgodnie z którym m. in. należało zwiększyć wysokość kondygnacji biurowych. Inwestor szybko się zgodził, dorzucając ze swej strony nieco zmian programowych, to jest zamianę restauracji na kawiarnię, likwidację pralni i inne. Proszono tylko o szybkie terminy opracowania. Skompletowałem faktycznie bardzo mocny zespół projektowy. Konstrukcję miał kontynuować dotychczasowy projektant H. Schoen, który zaimponował mi śmiałością i nowatorstwem swych konstrukcji (siatka filigranowych, grzybkowych słupów 7,20 * 8,40, prefabrykowane stropy). Opracowania wszystkich licznych instalacji sanitarnych, grzewczych i wentylacji podjął się Ryszard Flisowski, bardzo ambitny, wszechstronny specjalista w swej branży. Instalacje elektryczne oświetleniowe, sygnalizacyjne, telefoniczne, przebudowy trafostacji przypadły Aleksandrowi Schillerowi, doświadczonemu, bezapelacyjnie najlepszemu w swej branży w biurze.

Po dwu miesiącach zamienny projekt wstępny był gotowy i natychmiast po jego rozpatrzeniu i zatwierdzeniu przystąpiliśmy do opracowania projektów techniczno-robotycznych. Ja to nawet nie czekałem na formalne zatwierdzenie fazy wstępnej i przygotowywałem swe podkłady architektoniczne non stop. Zamierzałem początkowo, celem przyspieszenia prac projektowych, wykonać rysunki robocze dla całego budynku w skali 1:100. Po konsultacji z branżowymi kolegami okazało się to niemożliwe ze względu na skomplikowanie, zwłaszcza instalacji elektrycznych. To też jedynie elewacje rysowałem w skali 1:100, zaś rzuty wszystkich kondygnacji oraz przekroje w skali 1:50. Trzeba było rzuty ciąć przez połowę, bo rysunki całego budynku nie mieściły się na desce rysunkowej. Ostatecznie narysowaliśmy także w zespole wszystkie rzuty w skali 1:100 w uproszczonej formie, jako podkłady dla projektów instalacji wod.-kan, gazowej i centralnego ogrzewania, ale wykonali je moi asystenci.

W międzyczasie odbyło się posiedzenie Komisji Arbitrażowej w związku z roszczeniami generalnego wykonawcy za niedotrzymanie umownych terminów dostarczenia dokumentacji realizacyjnej przez PSS "Społem". Na prośbę inwestora wzięłem udział w tym posiedzeniu arbitrażowym, przedstawiając zakres prac już wykonanych przez biuro i bardzo szybkie ich tempo. Przy zgodzie przedstawicieli przedsiębiorstwa ustalono, że odbędzie się drugie posiedzenie arbitrażowe po terminie, w jakim obiecywałem dostarczenie projektów budowlanych. W ten sposób wpłatałem się ambicjonalnie w spór przedsiębiorstwa wykonawczego i inwe stora SDH "Jubilat", choć na dobrą sprawę, mógłby mnie on w ogóle nie interesować. Oczywiście jedną z przyczyn takiego mego postępowania była ma osobista przyjaźń do mego przyjaciela Igora Stachniaka, który był głównym pozwanym w procesie. Ale w ten sposób wydałem wyrok na me prywatne życie na okres kilku miesięcy.

Nie mogłem na przykład pojechać na planowany wcześniej urlop wypoczynkowy w miesiącu kwietniu. Kasia zabrała więc dzieci i pojechała beze mnie na dwutygodniowe wczasy do Szklarskiej Poręby Górnej w Karkonoszach. Mieli piękną pogodę i wypoczęli znakomicie. Ja zostałem sam w Krakowie i, wzorem lat kawalerskich, tylko na dwa dni Świąt Wielkanocnych pojechałem do mych rodziców, którzy bardzo mnie zapraszali.

Wszystkie rzuty i przekroje dla SDH "Jubilat", a potem prawie wszystkie szczegóły i detale budowlane, rysowałem sam, nie korzystając z pomocy asystentów i kreślarzy, którzy w tym czasie pracowali dla Staszka Ćwiżewicza i dla innych zespołów architekto-

nicznych w biurze. Po prostu ten mój "Jubilat" był bardzo skomplikowany pod względem funkcjonalnym a także rysunkowo. Mianowicie poszczególne części budynku nachylone były do siebie pod różnymi kątami i występowały w nim wykusze, prześwity, nadwieszenia, tarasy, mury oporowe, rampy, zadaszenia, diafragmy aluminiowe na elewacjach, kilka typów dźwigów, maszynownie, trafostacje, liczne wentylatornie z tunelami oraz kanałami czerpnymi, nawiewnymi i wyrzutowymi itd. Prawie nic nie dawało się przerysować i powtórzyć, jak to, na przykład, czyni się przy poszczególnych kondygnacjach w projektach budynków mieszkalnych. To też napracowałem się wtedy jak nigdy przedtem i właściwie jak już nigdy potem. Pracowałem w uproszczonym cyklu: przyjazd do biura na godzinę siódmą rano, obiad o trzeciej w pobliskiej restauracji, powrót taksówką na nocleg do domu o 22-giej (bo po tej godzinie obowiązywała nocna taryfa).

Mimo tak forsownej pracy, nie odczuwałem bynajmniej jakiegoś większego przemęczenia fizycznego, czy choćby psychicznego. Wystarczył mi twardy, głęboki 7-godzinny sen, by rano czuć się rześko, w pełni wypoczętym i gotowym do dalszej intensywnej roboty. Można to chyba wytłumaczyć przede wszystkim tym, że swą pracę projektanta bardzo lubiłem, w jakimś sensie ona sama była dla mnie właściwie relaksem. I nie miały tu znaczenia nawet poważne trudności i komplikacje projektowe, musiałem się wtedy tylko bardziej koncentrować. Nie lubiłem i męczyły mnie natomiast konferencje, narady i inne gadane imprezy.

W podobnym, acz nieco spokojniejszym trybie, pracowali moi branżowi koledzy od konstrukcji, instalacji sanitarnych i elektrycznych. Dzięki temu mogłem w swoim projekcie architektonicznym uwzględnić bez dodatkowego wyczekiwania, niejako w biegu, wszystkie niuanse wynikające z ich opracowań. W rezultacie w sierpniu, w terminie przyobiecany przeze mnie na arbitrażu, biuro dostarczyło inwestorowi kilka tomów architektury i konstrukcji, które przez niego niezwłocznie przekazane zostały także generalnemu wykonawcy. Mógł on więc wznowić prace budowlane, co też niedługo nastąpiło. Wykonawca odstąpił też wtedy od swych dalszych roszczeń arbitrażowych.

Po kolejnych 2-4 miesiącach przekazaliśmy inwestorowi także projekty wszystkich podstawowych branż instalacyjnych, rysunki detali architektonicznych, kosztorysy. Różne prace projektowe trwały jednakże jeszcze nadal przez około dwa lata, ale dotyczyły one już tylko pewnych robót specjalistycznych, jak ślusarki aluminiowej okien wystawowych, instalacji telefonicznych i przeciwpożarowych, reklam neonowych, wystroju wnętrz kawiarni itp. Oddzielnie opracowano też projekt na przebicie prześwitu komunikacyjnego w istniejącym budynku mieszkalnym od strony ul. Morawskiego, celem umożliwienia dojazdu dla samochodów dostawczych.

W czerwcu Kasia ponownie zachorowała na żółtaczkę zakaźną. Ten nawrót choroby był oczywistym wynikiem jakiegoś poważniejszego błędu dietetycznego, jaki musiała popełnić. Trafiła więc znów na oddział dr Zasowskiej w Klinice Chorób Zakaźnych przy ul. Kopernika. Tym razem przebieg choroby był jednakże znacznie łagodniejszy, niż przy pierwszej żółtaczce, i również pobyt w szpitalu był krótszy. Za to dr Zasowska żądała bezwzględnego wyjazdu Kasi do sanatorium na rekonwalescencję pochorobową. Jej staraniem żona wkrótce otrzymała skierowanie sanatoryjne do Długopola Zdroju na miesiąc sierpień.

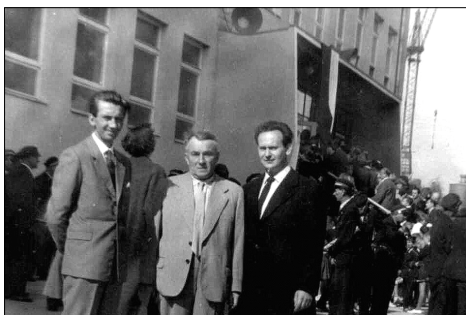
Ta choroba czerwcową pomieszała wszystkie nasze uprzednie plany urlopowe. Stanęliśmy przed trudnym dylematem zagospodarowania miesięcy letnich tak, by dzieci miały nieprzerwana opiekę i przez jakiś dłuższy czas zapewniony pobyt poza Krakowem, żeby żona mogła spokojnie pojechać na leczenie sanatoryjne, ja - bym miał jak najwięcej czasu na swe pilne prace zawodowe, a nasza gospoia przysługujący jej półmiesięczny urlop. Dodatkowo Władzia zgłosiła, że od sierpnia ma możliwość podje-

cia pracy w jednym z krakowskich przedsiębiorstw i nie wróci już do nas. Uznaliśmy, że w tych warunkach, jedynym realnym rozwiązaniem naszego letniego węzła gordyjskiego może być jedynie podrzucenie naszych chłopców moim rodzicom w Kępnie, możliwie na jak najdłuższy okres czasu. Realizując te postanowienia, w czerwcu zawiozłem dzieci do rodziców i zaraz wróciłem z powrotem. Władzia otrzymała należny płatny urlop, dzieci przebywały u dziadków przez cały lipiec i sierpień, Kasia w sierpniu w sanatorium w Długopolu na urlopie zdrowotnym, a ja mogłem pracować po 15 godzin na dobę.

Faktycznie to nasze rodzinne zagospodarowanie całego okresu lata wypadło bardzo korzystnie. Dzieci u dziadków miały się jak w raju: swoboda, duży ogród i podwórko, smaczne, zdrowe i obfite wyżywienie, multum starszych opiekunów. Bo, podobnie jak w latach poprzednich, u rodziców w Kępnie gościła ciocia Aniela i moja siostra ze swymi dziećmi. Zawiązały się dożgonne miłości i sympatie. Zauroczeni sobą wzajemnie byli dziadek i Grzesiu, podobnie babcia i Maciek. Grzegorz jak cień chodził za Januszką, który też bez Grzesia nie mógł się obyć. Za to Maciek cieszył się największą sympatią Grażynki i swej cioci Halinki. I tak im się tam plotło pogodnie i przyjemnie przez 2,5 miesiąca, aż do czasu nieuchronnego rozstania.

Kasi pobyt w sanatorium przysłużył się bardzo dobrze, dla jej kondycji zdrowotnej przede wszystkim. Swą tęsknotę za dziećmi i za mną "topiła" w seansach brydżowych. Podała się całkowicie pasji karcianej i w listach do mnie roztrząsała jakieś rewelacyjne licytacje i rozgrywki oraz wypytywała o szczegóły konwencji treflowej. Miała też tam tranzystorowe radio "Koliber", jakie kupiłem tuż przed jej wyjazdem do sanatorium. Słuchała je często i to również koło jej tęsknoty za swymi trzema chłopakami. Dalszym urozmaicheniem dla niej były występy wokально-muzyczne, odbywające się w muszli koncertowej Parku Zdrojowego. A występowały tam wtedy m. innymi światowej sławy skrzypaczka Wanda Wiłkomirska i pianistka Czerna-Stefańska

Ja do końca lipca skończyłem zasadniczy projekt techniczny na budowę "Jubilata" i następnie przez kilka tygodni zająłem się, zleconymi dodatkowo przez inwestora, zmianami projektowymi do opracowanej niedawno dokumentacji dla Bazy MPO w Krakowie. Wcześniej, konkretnie w dniu święta państwowego 22 Lipca, otrzymałem Złotą Odznakę "Za pracę społeczną dla miasta Krakowa" i Odznakę Tysiąclecia, obie za opracowanie dokumentacji projektowej na budowę krakowskich szkół "tysiąclatek". Wręczał mi je zastępca przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej Zdzisław Górski, mój kolega z pierwszych lat pracy w Nowej Hucie. Podobnie wyróżnieni zostali także niektórzy inni branżowi projektanci, którzy ze mną współpracowali i też bardzo napracowali się przy tych szkołach. Należeli do nich: konstruktor Julian Kulka, projektanci instalacji sanit. Marian Majcher i młodzieńca Helenka Janeczek oraz elektryk Andrzej Sosiński.



Przed Tysiąclatką nr 996

Miałem też wtedy nieco zajęcia w związku z budową tych szkół. Wszystkie realizowane były w ekspresowym tempie i były po kolei oddawane do użytkowania. Wziąłem udział w przekazaniu 18-izbowej szkoły przy ul. Wileńskiej. Miała ona bodaj numer 996 i przekazanie tej pięknie wykończonej szkoły odbyło się z wielką pompą. Trzech niewątpliwie najważniejszych dla budowy ludzi - kierownik budowy, inspektor nadzoru i ja, główny projektant, - staliśmy skromnie z boku i przyglądaliśmy się ceremonii przekazywania szkoły przez władze dzielnicy i miasta wiceministrowi i innym notabdom z Ministerstwa Oświaty.

Dopiero później, już po części oficjalnej, podczas przyjęcia, zorganizowanego w sali gimnastycznej przez komitet szkolny, panie z komitetu wyluskały nas z grona uczestników i potraktowały w sposób szczególny, z toastami "sto lat" itp.

Wzywany także byłem w ramach nadzoru autorskiego na budowę kilku szkół. Chodziło głównie o decyzje dotyczące robót wykończeniowych, a więc o ustalenie kolorystyki ścian, wysokości lamperii olejnych, malowania stolarki okiennej i drzwiowej itp. Tylko jeden raz byłem wzywany do nadzoru autorskiego w czasie robót stanu surowego, w szczególności na budowę szkoły przy ul. Wrocławskiej. Najwidoczniej kierownicy robót nie mieli większych problemów i zastrzeżeń do opracowania mej dokumentacji architektoniczno-budowlanej. W kilku wypadkach pochwaliłem brygady, zwłaszcza malarskie i posadzkarskie, za dobrą jakość ich robót. Dotyczyło to szkół na osiedlu Olsza II i przy ul. Misjonarskiej.

Raz pojechałem też na budowę szkoły przy ul. Sierankiewicza. Byłem w biurze, gdy zadzwonił telefon z Komitetu Dzielnicowego PZPR, że w trakcie budowy szkoły wycięte zostały chronione drzewa. Za chwilę przyjechał po mnie samochodem sekretarz KD, zresztą mój były kolega z DBMNH B. Rzymek, i pojechaliśmy na plac budowy. Tam czekał już na nas właściciel sporej willi, usytuowanej obok w dużym, pięknym ogrodzie. Właśnie część tego ogrodu została wywłaszczona w związku z budową szkoły i jej były właściciel złożył skargę na wycięcie poprzedniego dnia okazałej tui przez robotników, pracujących przy wznoszeniu budynku sali gimnastycznej. Tuja ta rosła bardzo blisko tejże sali i przeszkadzała w dowozie taczkami cegły i zaprawy, zwłaszcza, że obok były dalsze drzewa i ogrodzenie. Nie wiem, jak się sprawa zakończyła. Prawdopodobnie niefrasobliwi robotnicy zostali strofowani i pouczeni o konieczności przestrzegania odpowiednich przepisów o ochronie przyrody.

A 2 września oddana została do użytku najważniejsza w Krakowie, honorowa tyśiąclatka o numerze 999 przy ul. F. Dzierżyńskiego. Następna w kolejności szkoła o numerku 1000 była budowana oczywiście w Warszawie. Ten ceremoniał przekazania szkoły sięgnął absolutnych szczytów. Uczestnicy uroczystości otrzymali ozdobne zaproszenia ze strony Komitetu Honorowego, grupującego kilkunastu szefów władz administracyjnych, państwowych i partyjnych Krakowa. Protektorat honorowy sprawował sam prezes Rady Ministrów Józef Cyrankiewicz, a obecnych było dwóch wiceministrów z Ministerstw Oświaty i Komunikacji, gdyż szkoła wybudowana została jako Technikum Komunikacyjne i Szkoła Rzemiosł Budowlanych. Czworoboki młodzieży, poczty sztandarowe, odsłonięcie w podcieniu wejściowym tablicy pamiątkowej "POMNIK TYSIĄCLECIA PAŃSTWA POLSKIEGO nr 999 KRAKÓW 1965 itd.", zaprojektowanej przez Kazia Morawca.

Potem drugie odsłonięcie jakiegoś pomnika w głównym holu wejściowym, morze kwiatów i wreszcie bankiet w sali gimnastycznej. Nie pamiętam, czy w ogóle zauważony zostałem fizycznie, jako autor projektu szkoły, bo słowne podziękowania za trud i tp. były. Ale i tak satysfakcja dla mnie ogromna. Gdyż zarówno projektowanie jak i realizacja były ekspresowe, a efekty bardzo konkretne. I dotyczyło to wszystkich dziesięciu szkół z mojej serii "tyśiąclatek", z których ostatnia przekazana została z początkiem 1966 r. Oczywiście pozostałe szkoły oddawane były do użytku bez większego szumu. Również bez mego udziału, bo po prostu nie miałem na to czasu.

We wrześniu żona pojechała na dwa tygodnie do Kępna, ja ukończyłem już podstawową część dokumentacji dla SDH "Jubilat" i na kilka dni też wyjechałem do Kępna, żeby zamarkować swój urlop wypoczynkowy w 1965 roku, i zabrać rodzinę do Krakowa. Przywieźliśmy też z Kępna młodą, szesnastoletnią dziewczynę Marylkę, którą za pośrednictwem sąsiadów mych rodziców, zaangażowaliśmy jako stałą pomoc domową. Po kilku tygodniach okazało się niestety, że miała ona wszawicę, którą zaraził się od

niej wkrótce również nasz Maciek. Musieliśmy się z nią rozstać i odesłaliśmy ją z pocztą do jej rodziców w Kępnie.



Chłopcy mieli humory

wane, gabloty; bogatą ślusarkę - balustrady, kraty, różnorodne stalowe drzwi i bramy, przegrody z siatki, schody na taras; różne szczegóły budowlane - izolacje akustyczne, czerpnie powietrza, wyrzutnie dachowe, żaluzje trafostacji, ścianki luksferowe, koryta kwiatowe itd. Część detali opracował w zespole Staszek.

Do końca listopada opracowałem jeszcze projekt technologiczny zaplecza kawiarni, wraz z rysunkami wyposażenia, to jest szafek, regałów, stołów roboczych, okienek podawczych, koryt zmywakowych itp. Koordynowałem też wtedy intensywnie opracowywanie ostatnich branżowych projektów technicznych, szczególnie instalacji wentylacji mechanicznej. Od grudnia wykonywałem już prace nie związane z SDH "Jubilat" i miałem więcej wolnego czasu dla siebie. Ponieważ zarówno Kasia, jak i ja, nie wykorzystaliśmy jeszcze całego urlopu wypoczynkowego, przysługującego nam w roku 1965, postanowiliśmy więc pojechać w ostatnich dwu tygodniach grudnia na wczasy rodzinne.



Wczasy w Wesolej

miasta. Za kilka dni powtórzyliśmy na własną rękę wycieczkę do stolicy, dojeżdżając koleją elektryczną. Zdarzało się, że podczas wędrówek po ulicach Warszawy, trzeba był brać Grzesia na ręce, ale robiłem to bez narzekania.

Te nieustanne perypetie z naszymi pomocami domowymi skłoniły wtedy żonę do wzięcia trzymiesięcznego urlopu bezpłatnego. Mogła więc sama zajmować się przez cały dzień dziećmi i domem i pomoc domowa nie była nam w tej sytuacji potrzebna.

We wrześniu - październiku wykonywałem w biurze rysunki detali architektonicznych do SDH "Jubilat". Były to autorskie opracowania, w ciągu 60 dni narysowałem 60 dużych arkuszy, znów mniej więcej w trybie kilkunastogodzinnego dnia pracy. Obejmowały one całą indywidualną stolarszczynę, to jest okna, drzwi, szafy wbudowane,

Zamiar się udał i znaleźliśmy się w podwarszawskiej miejscowości Wesola. Było tam dużo śniegu, ale bez większych mrozów, to też wiele czasu spędzaliśmy na spacerach i sankach na świeżym powietrzu. Szczególnie cieszyło to naszych milusińskich, którzy z zapalem wykorzystywali nawet najmniejsze górki na zjazdy na saneczkach.

Skwapliwie skorzystaliśmy z wybieżki do Śródmieścia Warszawy, którą zorganizował instruktor k.o. naszego domu wczasowego. Chodziło nam głównie o pokazanie stolicy synom, gdyż byli w niej po raz pierwszy. Zwiedziliśmy głównie Starówkę z Rynkiem, murami obronnymi i Placem Zamkowym, a także Pałac Kultury i Nauki, z którego platformy widokowej oglądaliśmy potem panoramę szybko odbudowującego się



Na pomniku pod PKiN

Lata 1964 i 1965 w geopolityce światowej były bardzo podobne do siebie. Rozpoczęła się rewolucja kulturalna w Chinach i ruchy hippisowskie w Europie. Stany Zjednoczone AP w coraz większym stopniu angażowały się w wojnę domową w Wietnamie Południowym, początkowo pośrednio przez dostawy broni i wysyłanie doradców, pilotów wojskowych itp., zaś od tzw. incydentu w Zatoce Tonkińskiej już bezpośrednio w charakterze strony walczącej. Sam incydent tonkiński dotyczył ostrzelania w nocy 4 sierpnia 1964 r. przez trzy północnowietnamskie okręty patrolowe dwu torpedowców amerykańskich, znajdujących się na pełnym morzu. Zostało to potraktowane jako "casus belli" i następnego dnia USA rozpoczęły zmasowane naloty i bombardowania miast portowych, a wkrótce całego Wietnamu Północnego. W ich wyniku w ciągu kilku lat wojny państwo to, praktycznie biorąc, zrównane zostało z ziemią i zabitych zostało około dwa miliony jego mieszkańców.

Incydent tonkiński, od początku niejasny, wyjaśniony został ostatecznie dopiero po 30 latach, po ujawnieniu przez Pentagon tajnych dokumentów z nim związanych. Okazało się, że nie było wówczas w ogóle żadnego ataku okrętów wietnamskich, a cały incydent został wymyślony jako pretekst do bombardowań Wietnamu Północnego. Trwał podbój Kosmosu przez oba supermocarstwa. ZSRR nadal prowadził w tym wysiłku, realizując pierwszy "spacer" kosmiczny Aleksieja Leonowa, łagodne lądowanie Łuny 9 na Księżycu i przesłanie zdjęć z jego powierzchni, dotarcie pierwszej sondy do planety Wenus. USA wprowadziły satelitę na orbitę Księżyca i realizowały serię lotów załogowych na statkach Gemmini.

W październiku 1964 odbyły się XVIII Letnie Igrzyska Olimpijskie w Tokio. Polacy znów błyszczeli, zdobywając 23 medale, a największe sukcesy odnieśli lekkoatleci Irena Kirszenstein w biegu i Józef Szmidt w trójskoku.

Dużo działo się w Krakowie. Bogato obchodzono 600-lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego, łącząc je z przekazaniem do użytku kilku nowych obiektów dla tej uczelni oraz Rynku Głównego, po jego przebudowie. Rozpoczęto budowę dużego ośrodka telewizyjnego na Krzemionkach. Kraków gościł też wówczas wyjątkowo licznych, znamienitych gości zagranicznych. Należeli do nich m. in. prezydenci Finlandii Urho Kekkonen i Jugosławii Broz Tito, cesarz Etiopii Hajle Sellasie, Janos Kadar z Węgier.

W czwartym kwartale wpłynęło do biura zlecenie na opracowanie dokumentacji projektowej na budowę w Bochni hotelu robotniczego dla Huty im. Lenina. W Bochni planowano bowiem wybudowanie wielkiej walcowni cienkich blach karoseryjnych, transformatorowych, na opakowania itp., jako filii kombinatu nowohuckiego. Hotel ten był niezbędny dla doraźnej obsługi kadry inżynierskiej, delegacji i in. Projekt wstępny opracował Staszek Ćwiżewicz, zaś od stycznia projekt techniczny opracowywaliśmy wspólnie. Obiekt został zaprojektowany w standardzie hotelu komunalnego, miał 12 tys. metrów kubicznych, zrealizowany został potem w ciągu ok. dwu lat. Przy uzgadnianiu z inwestorem programu użytkowego, standardu wykończenia i wyposażenia, inwestora reprezentował mój kolega ze studiów architektonicznych we Wrocławiu Jerzy Lorenz, który po ich ukończeniu przeniósł się do Krakowa, podobnie jak ja. Dla potrzeb HiL zaprojektowałem jeszcze później w Bochni dwa punktowe budynki mieszkalne.

W tym czasie opracowałem także dokumentację projektową na budowę 12-klasowej szkoły podstawowej w Boryni na Śląsku. Było to podzlecenie z innej pracowni biura, która wykonywała kompleksowe projekty nowych osiedli mieszkaniowych w Pniówku i Boryni obok Jastrzębia Zdroju w Rybnickim Zagłębiu Węglowym. Mianowicie w latach 60. to nowe zagłębie węgla kamiennego było bardzo intensywnie rozbudowywane, budowano tam dziesiątki nowych kopalń, a w ich sąsiedztwie górnicze osiedla. Śląskie biura projektowe nie radziły sobie z nawalem prac projektowych i część z nich

trafiła do naszego biura. W pracowni PW-2 opracowaliśmy dokumentację na pawilon handlowy, szkołę podstawową i przedszkole.

W 1965 r. zreformowane zostały zasady zapisów i opłat za przedszkola i zostały one uzależnione od wysokości zarobków rodziców. Interesowało nas to bardzo, gdyż zamierzaliśmy właśnie zapisać do przedszkola również naszego młodszego syna. Oczywiście musieliśmy się liczyć z większymi opłatami, ale nie wiedziałem, czy przy zapisach preferowane będą dzieci rodziców gorzej, czy lepiej zarabiających. Faktycznie nie mieliśmy większych problemów i od 1 stycznia 1966 r. obaj nasi chłopcy chodzili do pobliskiego przedszkola. W ten sposób nasza sytuacja rodzinna się pozytywnie wyklarowała. Nie byliśmy już skazani na zatrudnianie pomocy domowej. Żona rozpoczynała swą pracę zawodową później niż ja, więc w okolicy godziny ósmej odprowadzała obu synków do przedszkola. Natomiast ja kończyłem pracę już o 15-tej i pół godziny później odbierałem dzieci do domu.



Byli oni w odrębnych grupach, Grześ u maluchów, Maciek u starszaków, ale często, zwłaszcza w ogródku, bawili się razem. Opieka w przedszkolu pod każdym względem była bardzo dobra, byliśmy więc z nowej sytuacji zadowoleni.

Mimo to postanowiliśmy jednak zatrudnić jakąś młodą dziewczynę do pomocy w pracach domowych oraz przypilnowaniu dzieci na czas naszej nieobecności itp. Mieliśmy dla niej odrębny pokój i stać nas było na jej opłacenie. Zwłaszcza, że pracowałem w systemie akordowo-premiowym i możliwość dłuższego dnia pracy dzięki zatrudnieniu gosposi, owocowała wyższymi premiami kwartalnym, rekompensując zawiązką koszty zatrudnienia pomocy.

Synowie w przedszkolu

W ogóle zarabiałem wtedy raczej sporo. Miałem na ogół wysokie przeroby finansowe, wyliczane z wartości opracowanych projektów przeze mnie, a wydajność pracy miałem bardzo dużą. Więc zdarzył się taki przypadek, że przy wypłacie rekordowej premii kwartalnej w biurze w wysokości ponad dwudziestu tysięcy złotych i najwyższym, istniejącym wówczas nominalnie 100 złotowym - przyszedłem do domu, mając pieniądze poupychane we wszystkich możliwych kieszeniach.

Nową pomoc domową zaangażowaliśmy bez pośpiechu, dopiero po kilku miesiącach. Była nią kolejna młoda dziewczyna Lonka, która potem bardzo się do nas przywiązała.